

Relacja Jana Bartysia – uczestnika strajku na Uniwersytecie Warszawskim w roku 1968, pod koniec lat 70. udostępniającego mieszkanie na magazynek podziemnej biblioteki prowadzonej przez Urszulę Sikorską-Kelus, a po wprowadzeniu stanu wojennego – na „skrzynkę” „Tygodnika Mazowsze” (przechowywanie blach), od 1982 r. zaangażowanego w produkcję kaset magnetofonowych wydawnictwa CDN, a następnie Oficyny Fonograficznej CDN.

Po pierwsze tak naprawdę cała ta nasza konspiracja w porównaniu z II wojną światową była śmieszna po prostu. Po drugie, mimo zupełnie innych okoliczności, nieporównywalnych represji, strachu było mniej więcej tyle samo.

Ale od początku. W 1968 r. studiowałem prawo na II roku, brałem udział w strajku na Uniwersytecie Warszawskim. Moja działalność, nazwijmy ją pseudokonspiracyjną, zaczęła się od tego, że kochałem historię. Ale nie historię tę PRL-owską, zakłamaną, historii komunistycznej człowiek nie był w stanie po prostu się uczyć, bo jeżeli Zenon Kliszko pisał o powstaniu warszawskim takie bzdety... W jakiś sposób udało mi się poznać partnerkę Janka Kelusa, Urszulę Sikorską, miała ksywkę „Kuba”, „Kubuś”, która prowadziła bibliotekę podziemną. Dzięki niej uzyskałem dostęp do zakazanych książek. Warunkiem było podanie swojego nazwiska – taki element jawności. „Kuba” mówiła, że lista nazwisk jest „kopcowana”, utajniana, a tak naprawdę w ogóle nie istniała. Chodziło o to, aby wykazać choć odrobinę odwagi cywilnej. Dzięki „Kubie” przeczytałem na przykład książkę Władysława Pobóg – Malinowskiego „Najnowsza historia polityczna Polski”, potem dostałem „Archipelag GUŁag” Solżenicyna. Zaczęłem poszukiwać tej prawdziwej historii, zacząłem się interesować przede wszystkim historią od powstania styczniowego: ruchy polityczne, I wojna światowa, II Rzeczpospolita no i II wojna.

Któręś dnia „Kuba” mówi: „Jasiu, może zrobimy tu u ciebie jakąś »skrzynkę«”. Zrobiliśmy u mnie »skrzynkę«, czyli magazynek na książki, na wydawnictwa. Trochę się bałem, ale to nie był taki wielki strach, bo to były czasy Gierka, uważałem, że niewiele za to grozi. Potem przyszła „Solidarność”, to już wszystko zrobiło się jawne, nic złego się nie działo, i nagle wybuchła wojna jaruzelska. I wtedy rzeczywiście strach był już potężny. Pokazywano w telewizji, że gdzieś tam np. wykryto zbrojownię „Solidarności”, 30 różnych bagnetów, pałki z napisem „Honor i ojczyzna”. Za to grozi kara śmierci, kara śmierci, kara śmierci... Janek z „Kubą” wyprowadzili się oczywiście z domu, przez jakiś czas się ukrywali, choć do mnie przychodzili regularnie. Janek zaśpiewał w radiu „Solidarność”, w jego pierwszej audycji, taką piosenkę: „Wyjeżdżajcie już chłopcy od Piasta, pora chłopcy opuścić tę dziurę”. UB [SB] szukało Jasia, myśląc, że jak go złapie, to złapie całe radio „Solidarność”. On zapuścił wasy, zmienił się, ale nie potrafił usiedzieć na miejscu. I szwendał się po całej Warszawie, szukając przede wszystkim nagrywarek do kaset. Bo my już w tym czasie robiliśmy oficynę fonograficzną.

Właśnie, po jakichś trzech miesiącach Janek powiedział: „Jasio, trzeba działać trzeba wrócić do tego, coś musimy robić”. A ja patrzyłem na swoją kolekcję różnych wojennych staroci, na to wszystko, i oczami wyobraźni widziałem, jak UB [SB] do mnie wchodzi. Zaczęłem się wywijać jak wilga, wykręcałem się. „Kuba” mnie wtedy uratowała. Powiedziała: „Jasiu, odwal się od Jasia” – oczywiście bardziej soczystym językiem, jak to młodzież. – „To jest niedobre mieszkanie, tu łatwo przyprowadzić ogon, w bloku są tylko trzy mieszkania, od razu będzie spalony magazynek”. Janek dał mi spokój, ale na krótko, na dwa miesiące.

W tym czasie wszyscy pędzili bimber, bo wódki nie było, bo przecież była „wojna”. I ja też pędziłem bimer, miałem świetną maszynę, przeżyła nawet rewizję UB [SB]. Ubecy [esbecy] brali ją do ręki, a przyszło ich jedenastu, i żaden z nich nie domyślił się, że to jest maszyna do pędzenia bimbru. Składała się z rurki miedzianej i dętki rowerowej.

I życie jakoś się toczyło, aż tu nagle wpadł do mnie Czesio Bielecki, z którym chodziłem do jednej klasy przez trzy lata szkoły średniej i z którym robiłem maturę, ale potem te kontakty się urwały, on wybrał architekturę, ja prawo, wpadł i mówi: „Jasiu, Jasiu – wypiliśmy trochę tego bimbrowa – „Ja nie wiedziałem, że ty jesteś stary konspirator, że ty knujesz od 1976 roku – mówi – my ci tu zrobimy »skrzynkę«”. Cholera, włosy mi dęba na głowie stanęły, cholera, ale odmówić Jasiowi Kelusowi, który był naprawdę moim serdecznym przyjacielem, jakoś jeszcze potrafiłem ale temu? Ja mam się okazać tchórzem? Poszedłem do mamy i mówię: „Mamo, niech mama wyniesie to, co cenne, bo tu przyjdzie na pewno UB [SB], no ja się zgadzam”. Mama na to: „Rób co chcesz”.

Dobrze, robimy „skrzynkę”. Czesio różnych rzeczy nawtykał, jakichś „KOS-ów”... Piętnaście osób miało tu wchodzić. Następnego dnia przyszedł jednak Jasio Kelus, powiedziałem mu o wszystkim, a on mówi: „Niech spierdala – mówi – niech on spierdala, nie zrobi tutaj takiej »skrzynki«”. Wygonił go. I powiedział, że tutaj może być tylko skrzynka „Tygodnika Mazowsze”. System wydawnictwa „CDN”, który już wówczas go drukował, wyglądał tak, że kontakty między redakcją a produkcją odbywały się przez łączników. U mnie miał być magazynek na blachy. No i zaczęło się. Zaczęliśmy. Najpierw była to „skrzynka” znana powiedzmy Czesiowi i jego żonie, odbierali oni blachy przynoszone przez łączniczkę o ksywce „Janeczka”. Potem się dowiedziałem, że miała Zośka na imię, ale jej nazwiska do tej pory nie znam.

Tymczasem Jasio zaczął montować, bo to on był właściwie duszą i motorem tego przedsięwzięcia, w ramach wydawnictwa CDN, wydawnictwo kasetowe. Biegał po całej Warszawie, szukał możliwości przegrywania, i on i ja szukaliśmy kaset, ale jakoś nie wychodziła nam współpraca z Czesiem. On traktował to wydawnictwo kasetowe tak per noga, podczas gdy dla Janka wydawanie kaset dźwiękowych było bardzo ważne. A tamten miał te swoje książki, miał swoje wydawnictwo, miał swoje interesy, zawsze spóźniał się, mimo że miał tych drukarni od groma, z drukowaniem nam okładek. I po jakimś czasie nastąpił rozwód. Zrobiliśmy się taką ddzielną jacejką. Pierwsze, musiałbym zajrzeć do notatek, ale pierwsze powiedzmy tam sześć kaset było wydane jako wydawnictwo CDN, a potem, tam było ich chyba 29 tytułów razem, czy 27, już nie pamiętam, to była już Oficyna Fonograficzna CDN. Zaczęliśmy działać jak gdyby osobno.

Angażowaliśmy oczywiście rodziny, ja swoich bratanków, znajomych bratanków, bo to tak powstaje, i tak przecież powstawała konspiracja w czasie drugiej wojny światowej, szukało się kogoś, komu się ufa. Koledzy ze szkoły, ludzie, do których ma się zaufanie, aby nie wpuścić jakiegoś agenta.

Duszą tego wszystkiego były właściwie dwie osoby: Janek Kelus, który najbardziej się w to angażował, jeśli chodzi o zaopatrzenie to Sławek Bobula, no i ja – tutaj się właściwie wszystkie nitki, jako że jestem człowiekiem siedzącym na miejscu, robiłem za kogoś w rodzaju księgowego, u mnie się właśnie te wszystkie nitki skupiały. Wśród tego, co wydaliśmy, znalazły się kasety z piosenkami samego Kelusa, oraz Jacka Kaczmarskiego, Tadeusza Sikory, Jacka Kleyffa, z utworami z ośrodka internowania w Strzebielinku, występami Teatru Ósmego Dnia, Teatru Wybrzeże, Jacka Fedorowicza, oraz – „Ostatnie homilie” ks. Jerzego Popiełuszki, i wiele, wiele innych.

Produkcja opierała się na „krętaczach”. Przy przegrywaniu kaset używaliśmy deków AIVA, które ściągał z Berlina Sławek Bobula, trzeba było przy tym po prostu siedzieć. A ci, którzy siedzieli, to byli w większości biedni ludzie. Stąd musieliśmy im normalnie płacić. Ale dzięki temu, że płaciliśmy, mogliśmy wymagać. Janek był maniakiem jakości. Problemem okazywało się jednak nie samo powielanie, ale choćby zdobywanie kaset. Były jakieś takie towarzystwa biblijne dla Świadków Jehowy, nagrywające na taśmy Biblię, kasowaliśmy to. Próbowaliśmy nawiązać, dokładnie mój bratanek Paweł, również członek naszej oficyny próbował, kontakty z pracownikami „Stilonu” w Gorzowie, do którego w tym celu jeździł.

Udało mu się to, poznał działaczy tamtejszej podziemnej „Solidarności”, którzy wynosili mu kasety. Był jeszcze jeden człowiek, Mariusz miał na imię, nie pamiętam jego nazwiska, takie wielkie chłopisko, z ogromnym worem, co pewien czas przywoził nam w tym amerykańskim worze US Army kasety właśnie ze Stilonu Gorzów. Był włóczykijem, chodził po górach i zginął na Świnicy, zimą poszedł i ... Ale nawet nie znam jego nazwiska. To był przemysłowy człowiek, ofiarny. Pochodził z jakiejś zabitej dechami wsi, gdzieś spod Gorzowa.

Wracając do Janka i jego poszukiwań przegrywarki do kaset. Szukał jej gdzieś po ludziach związanych z radiem „Solidarność”. W końcu ktoś mu powiedział, że taka przegrywarka znajdowała się w siedzibie Regionu Mazowsze. Jakiś kapuś go tak wciągał. Janek odpowiednią przegrywarkę w końcu gdzieś wykombinował, ale również przez to został internowany. Ta przegrywarka 80 razy przyśpieszała nagranie kasety i nagrywała ją z obydwu stron. Tyle że ponieważ przy przegrywaniu naciągała jakoś tę taśmę, to dźwięk był okropnej jakości. I potem jak Janek wyszedł z „internatu”, a myśmy już ostro z oficyną działali, to ściągnęliśmy takie specjalne przegrywarki AIVA. One nagrywały z dwukrotną szybkością, obie strony kasety od razu, jedną od tyłu, drugą od przodu.

Też się niestety zdarzało, gdyż kasety były najrozmaitsze, najrozmaitszej jakości, nędzne kasety, że coś się źle przegrało, jak się któraś zacięła. Stąd musieliśmy sprawdzać, jak dźwięk się nagrał, odrzucać, potem „okładkować” itd. To już była normalna praca, do której zatrudnialiśmy różne jakieś nasze koleżanki, w ciąży, wychowujące dzieci... Dostawały AIVĘ siedziały, nagrywały. Potem się to wszystko ściągało w jedno miejsce magazynowe, okładkowało i rozprowadzało. Jasio twierdził, że jeżeli się płaci, to się wymaga odnośnie jakości. Jeżeli się nie płaci, to nikt się nie stara, nie przykłada do tego, co robi. Ja nie brałem pieniędzy, zresztą identycznie jak całe nasze kierownictwo, powiedzmy rada nadzorcza, czy coś w tym rodzaju, czyli Janek, Sławek Bobula. Natomiast ci, którzy kręcili, choć niektórzy kręcący również nie chcieli wynagrodzenia, bo uważali, że to jest poniżej ich godności, czy poczucia patriotyzmu, byli opłacani.

Po roku dokładnie oddaliśmy pożyczony przez kontakty Teresy Boguckiej milion, bo na rozruch dostaliśmy te pieniądze, bez procentów, bez żadnej lichwy, zarobiliśmy tyle, że mogliśmy już finansować się sami. Najwięcej wydaliśmy kazań księdza Jerzego Popiełuszki. Kilkadziesiąt tysięcy, z tym, że ludzie to jeszcze dalej przegrywali... Te kasety się przecież mnożyły. Na obwołutach podkreślaliśmy zresztą „słuchanie tej kasety w zaciszu domowym jest najbezpieczniejszym sposobem kontestacji. Jeśli zrobisz z niej ten tylko użytek – znaczy to, że sprzedaliśmy kasetę niewłaściwej osobie. Mamy jednak nadzieję, że w ramach skromnych swych możliwości – staniesz się jej kolporterem”. A jeszcze jeśli chodzi o kazania księdza Jerzego Popiełuszki, to już była chyba dwunasta albo trzynasta kasetka, pomogła nam po prostu „Solidarność”, bo dostaliśmy od niej zamówienia na bardzo dużą partię kaset, 15 tysięcy. Ludzie naprawdę bardzo chętnie to brali, te kasety szły bardzo dobrze. Dostaliśmy na nie dotację z RKW, czyli Regionalnej Komisji Wykonawczej, nie wiem, czy na przykład Zbigniew Bujak o tym wiedział, ale ktoś z władz podziemnych „Solidarności” na pewno.

To się kręciło, kręciło, kręciło, skończył się stan wojenny, przyszła jakby demokracja, 1989 r. ... Ja uważam zresztą, że ta „wojna” trwała do 1989, przecież formalne zniesienie stanu wojennego wiele nie zmieniło

Nie pamiętam, w którym roku wydaliśmy ostatnią kasetę, może w 1988, ale nie jestem pewien. W każdym razie zostały pieniądze, i te pieniądze tak po prostu leżały na koncie. Janek przekonywał: „Dajmy je na jakieś hospicjum”, na co ja się jednak nie zgadzałem, nie czułem takiej potrzeby, uważałem, że powinno to iść na jakiś rozwój. Stąd pieniądze leżały tak na tym koncie, leżały, przy słabym oprocentowaniu. W pewnym momencie pojawiła się jakaś Janka znajoma z młodych lat, która pracuje w „Gazecie Polskiej”, i która opiekuje się w Polsce Czecczencami. Okazało się, że przyjechał tu do nas jakiś Czeczeniec, z rodziną, z kupą dzieci. Był chyba dyrektorem muzeum narodowego w Groznm. I chciał wydać książkę.

Chciał wydać książkę, ale nie miał za co. I myśmy wzięli te pieniądze, to były duże pieniądze za komuny, które na początku lat 90. zrobiły się małymi pieniędzmi, gdyż były one w dolarach, a tu przylazł Balcerowicz, i dolar stracił na wartości. I te pieniądze przekazaliśmy ostatecznie Czeźceniowi, który wydał książkę, zaznaczając, że dofinansowała ją Oficyna Fonograficzna CDN. Pieniądze żadne, absolutnie żadne pieniądze, żadna gotówka, nie poszły do prywatnej kieszeni. .

Przez wszystkie lata firma była niezależna finansowo, sama się finansowała dzięki tej początkowej pożyczce, która pozwoliła zdobyć kapitał na obrót. Potem mieszailiśmy tym kapitałem obrotowym. Raz nam przyrastało, a czasem ubywało. Dlaczego ubywało, bo były wpadki po prostu.

Otóż, zdarzało się, że mieliśmy magazyny, znajdujące się u różnych takich „ciotek”: znajomych, koleżanek, które nam wśród swoich znajomych i znajomych znajomych znajdowały dalsze. Mieliśmy kiedyś maazynek, nie wiedziałem i nie wiem dokładnie gdzie, w mieszkaniu jakiegoś człowieka, który po prostu udostępnił nam klucze. I mogliśmy do tego pokoju-magazynku dowolnie wchodzić, tam trzymaliśmy wszystko. Któregoś dnia Sławek wchodzi tam, a tam jest pusto. Kurczę. Przyleciał do mnie i mówi: „Słuchaj, no kurczę, ktoś nam obrobił magazyn, czy coś innego się stało”. Tam znajdowała się kupa kaset, 1000, czy nawet 2000, już nie pamiętam. Co się okazało. Facet był kierowcą, popił sobie gdzieś tam w jakimś Mińsku Mazowieckim, gdzieś w knajpie, i zaczął ludziom rozdawać „Tygodnik Mazowsze”. Przyszło UB [SB] do niego do domu, bo ktoś go oczywiście z tej knajpy podcynkował, odkryto ten magazyn, zabrano wszystkie kasy. Rewizja się skończyła, funkcjonariusze wyszli. Po chwili wszedł Sławek Bobula, zobaczył, że jest pusto, wybiegł. A tamci po dwóch godzinach wrócili, siedzieli przez trzy dni w kotle i czekali, aż ktoś wejdzie.

Czyli pieniądze ubywało i przybywało. Na szczęście to okazał się jeden jedyny duży „wpadunek”. Zdarzały się też i drobne straty, np. ktoś tam komuś w kolportażu nie zapłacił, wziął, powiedzmy, 150 kaset i za 50 nie zapłacił, bo miał zapłacić później, po sprzedaży. Co jakiś czas zdarzały się takie sytuacje, że jakiś odbiorca nie zapłacił, a trudno byłoby te straty pokrywać z własnej kieszeni. Ryzyko istniało zawsze, wierzyło się przecież ludziom na słowo. Czyli, powtórzę, raz ubywało, raz przybywało. Niestety, rentowność ze względu na inflację spadała, bo przecież trudno było podwyższać cenę kasy. Ludzie nie byli tacy znowu bogaci. Wreszcie jakaś tam suma została, gdy kończyliśmy działalność, to zostało jakby zatwierdzone przez radę nadzorczą, że tyle i tyle tych pieniędzy jest, potem one leżały, każdy z nas żył swoim życiem przez te czasy jakby demokracji. Były co jakiś czas pytania: co z tym zrobić? No i w końcu po prostu przekazaliśmy pieniądze temu Czeźceniowi.

Nie sprawdzałem, czy są jakieś moje papiery w IPN. Jeśli są, to tylko związane z tym, że w 1987 r. zostałem pełnomocnikiem pewnej firmy polonijnej, którą potem ciągnąłem przez 4 lata, a żeby zostać pełnomocnikiem firmy polonijnej, to musiała być zgoda MSW. Więcej chyba o mnie nie ma dlatego, że ja byłem najardziej chronionym człowiekiem w całym tym naszym interesie. Ja sobie nawet w tym czasie nie zdawałem sprawy, że UB [SB] wszędzie ma wtyczki, że jest tyle tajnych współpracowników. Czy to takie było towarzystwo? No, spotykałem się z kolegami, gdzieś tam wychodziłem, chlaliśmy wódkę, zawsze jakąś farbę tam puściłem, nie byłem takim człowiekiem, który trzyma język za zębami, a jakoś nikt mnie nie podcynkował. Co więcej, dookoła siadali ludzie, np. była taka Małgosia, która wyjechała później do Kanady, Sławek Bielecki uznał, że ona kapowała. Została aresztowana w sprawie takiego pisma „Reduta”. Bo ten wariat, Sławek Bielecki, postanowił rozłożyć Układ Warszawski. I robił takie pisma: „Godność” dla milicji i „Redutę” dla wojska. Gdyby kolportaż odbywał się np. poprzez wysyłkę na konkretny adres i przeczytałby to politruk, pokazał drugiemu politrukowi i jeszcze koleśowi przy wódcę, i jakiemuś tam dowódcy, to by to może miało jakieś ręce i nogi. Natomiast Bielecki chciał to podobno kolportować, ja nie mówię, że tak na pewno było, wśród żołnierzy. Stąd jak go łapano, to łapano go przy użyciu

40 gazików, otoczono go, bo to już był wróg Związku Radzieckiego, całego Paktu Warszawskiego. Ta Małgosia „siadła” z nim. Z tego, co mi opowiadała, to dziewczyny siedzące w celi, zdejmowały z lampy klosz biały, były takie klosze. Dostawały rodzynki, robiły wodę z cukrem i te rodzynki tam wrzucały, robiły sobie wino, piły ten zacier i pijąc sobie gadały. I może ona tam coś powiedziała. To była taka ciotka, która właściwie wszystko wiedziała, i dlatego, że pomagała nam tak serdecznie, siedziała. Według Sławka Bieleckiego wypaplała o nim wszystko, ale o mnie – nic. No nic, bo tutaj do mnie nikt nie przyszedł. A jeśli w IPN rzeczywiście są jakieś papiery... Chyba o nie wystąpię, ale nie wierzę, żeby Małgosia sypała, nie wierzę, od razu by nas nakryli. Choroba, przecież mogli mnie aresztować, po mordzie by mi dali kilka razy, jakoś inaczej by jeszcze dokuczyli. Mogliby kogoś złapać... Janka chętnie by przynajmniej na chwilę zapuszkowali, kogoś innego by chętnie zapuszkowali, ale tu nikt nie przyszedł. Co więcej. Wracając kiedyś z pracy widzę, jak Janek idzie z psem Robakiem. On zawsze miał same kundły, Robaki itd. Mówię: „Chodź pomożesz nam się wturlać na górę”. Stoję z moim kuzynkiem, który był również członkiem Oficyny, pod domem, stoję, stoję, cholera, gdzie to się powlokło? Spotkaliśmy go na Filtrtowej, a on po pół godzinie lezie kompletnie z drugiej strony. Po prostu obszedł cały park, tam gdzie chodził, rozglądając się, czy za sobą kogoś nie ciągnie. Któregoś dnia np. przyszedł do mnie i mówi: „Zwijamy się – mówi – szybko czyść dom, natychmiast”. „Coś ty zwariował, co się stało?” „Tu przed szkołą stoją dwa barakowozy i z nich wystają jakieś anteny. Nie wiesz, że UB [SB] ma takie? Promień lasera nastawia ci na szybę, rozumiesz, i oni to wszystko słyszą”. „Cholera” – pomyślałem. Zwinęliśmy się na dwa tygodnie, ale pamiętam, że wtenczas brakowało mi strasznie tego knucia, po prostu się do niego przyzwyczaiłem, odżałowałem już to wszystko, co miałem w domu, te starocie, a niech zabierają, czort z nimi. Tak naprawdę to już było moje życie. To była najważniejsza rzecz, jaką robiłem. I mi jej po prostu brakowało. A te anteny... Obok mieszkała pani Aniela Steinsbergowa, stąd byż może rzeczywiście w tych barakowozach siedzieli ubecy...

Sposobów szyfrowania telefonów to ja wtedy wymyśliłem setki. Słupki z dodawaniem i odejmowaniem, np. dwie końcowe cyfry to dwadzieścia pięć, potem dodać, odjąć, podzielić, suma, różnica... I niech ubecy szukają, dwie ostatnie cyfry to na przykład były numery telefonów. Ale też bez przesady. To Janek za każdym razem obchodził dom pięć razy zanim do mnie włązł. Jakoś Pan Bóg nad nami czuwał, nikt tu nie przyszedł. Nie mieliśmy właściwie takich „wpadunków” w sercu firmy tylko gdzieś na obrzeżach.

Tak naprawdę firma nie działałaby bez Janka. On latem siedział na Mazurach i hodował z „Kubą” pszczoły, myśmy kręcili te kasety, nie mieliśmy żadnej łączności właściwie z nim. Jeździłem na Mazury, do moich przyjaciół, nad jezioro, nad które do tej pory jeżdżę, w takie „zakazane” miejsce, gdzie jest głusza, gdzie nikt inny nie przyjeżdża, i przy okazji tych moich pobytów tam odwiedzaliśmy się. Natomiast zimą, kiedy pszczoły spały, to Janek tu ostro działał. I to on miał kontakty ze światkiem artystycznym, on załatwiał dźwiękowców, bo przecież mieliśmy własnych dźwiękowców, to było małżeństwo, nazywaliśmy ich „Dzieciakami”, chociaż doczekali się tylko dwójki dzieci, państwo Makowscy, pracownicy telewizji. Mieli tam profesjonalny sprzęt, nagrywali tych naszych artystów, taśmy-matki trzymali w archiwach telewizji, gdzie pies z kulawą nogą, żadne UB [SB] nie zagładało, robili kasety-matki i my je od nich odbieraliśmy. Tak to się działo i to Janek wszystko załatwiał. Ja o „Dzieciakach”, jak oni się naprawdę nazywali, dowiedziałem się dopiero po „wojnie”. Wiedziałem tylko tyle, że to są „Dzieciaki”. Myślałem, że mają piątkę czy szóstkę dzieci. Bardzo mili ludzie. Potem ich poznałem.

Oficyna musiała działać na zasadzie całkowicie kapitalistycznej, musiała być marża, musiał być zysk. Ale też musieliśmy być konkurencyjni, nie mogliśmy przekraczać pewnego progu cenowego, bo to jednak szło, cały kolportaż różnych firm, czy to kasetowych, czy książkowych, do tych samych ludzi. Wydaje mi się, że to było takie jakby getto, byli tacy co

kupowali, byli tacy co nie kupowali. Trudno było ów krąg odbiorców poszerzyć. Dzięki temu, że zarabialiśmy, płaciliśmy tantiemy. Jacek Kleyff był człowiekiem bardzo biednym, w państwowym obiegu miał po prostu zakaz wydawania czegokolwiek, „Salon Niezależnych” przestał przecież istnieć, a tu szlaban na wszystko, stąd te pieniądze od nas jakoś go radowały.

Kasety szły do kolportażu, ich cena była mniej więcej ustalona, potem dawaliśmy kasety-matki np. do zaprzyjaźnionych ludzi z Gdańska, którzy dostawali do tego określoną liczbę okładek, za każdą z okładek musieli zapłacić 100 złotych, i następnie – po przegraniu, po samodzielnym powieleniu i „zaokładkowaniu” – sprzedawali je. Te 100 złotych to była nasza marża i prawa autorskie, abyśmy mieli za co zapłacić tantiemy. Wysyłaliśmy też kasety na Zachód, do Mirosława Chojeckiego, który siedział w tym czasie w Paryżu, i miał tam takie swoje kasetowe wydawnictwo, przede wszystkim kręcił kasety video. Nie wiedzieliśmy, czy on rzeczywiście te nasze kasety jakoś tam rozprowadza, czy też po prostu daje nam od czasu do czasu jakąś jałmużnę w postaci powiedzmy 50 czy 100 dolarów. Dla nas to była kupa pieniędzy. To było mnóstwo pieniędzy.

Wszystko się ładnie kręciło.